



P. Stachiewicz, *Wołodyjowski*

Poczet kresowych zagończyków

Pan Wołodyjowski

Mały rycerz z powieści Henryka Sienkiewicza to postać wymyślona, lecz oparta na realnym pierwowzorze... a nawet dwóch. Niektórzy twierdzą, że autor nadał mu kilka własnych cech, chociażby *mikry* wzrost czy szczególny stosunek do niewiast.

Gdy przyjrzymy się uważniej jednemu z głównych bohaterów Trylogii, to bez trudu zauważymy, że opis tej postaci różni się dość znacznie w poszczególnych jej częściach. W *Ogniem i mieczem* widzimy go jako drugoplanową, choć ważną figurę – trzpiotowatego nieco żołnierzyka, sprawnie machającego szabelką, lecz nie grzeszącego intelektem, zainteresowanego wojaczką, w przerwach rozglądającego się za białogłowami, akuratnie wypełniającego rozkazy, do spraw wielkiej polityki nie sięgającego.

Do zarysowania sylwetki powieściowego młodzianka posłużył prawdziwy Michał Wołodyjowski, oficer dragoński w służbie księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, a później kasztelana kamienieckiego Aleksandra Piaseczyńskiego. Nie wiadomo o nim zbyt wiele, lecz walczył u boku znamienitych wojenników, więc bitewnej wprawy mu zapewne nie brakowało. Gorzej było z manierami, bo miał je isticie żołdackie – pewnego razu oskarżono go o porwanie i gwałt na córce unickiego duchownego. Tenże pan Michał zniknął szybko z kart historii, być może położył gdzieś głowę w potyczkach z Tatarami.

Istnieje możliwość, iż w międzyczasie Sienkiewicz natknął się w historycznych dokumentach na innego Wołodyjowskiego i to jego sportretował w kolejnych częściach Trylogii. W *Potopie* widzimy już bowiem poważnego, szanowanego i zasłużonego w bojach dowódcę chorągwi laudańskiej, z którego zdaniem i hetman, i nawet król się liczy, a w trzeciej części to już tytułowy bohater cieszący się powszechną estymą i na każdym kroku dowodzący ogromu swej wojskowej eksperyencji. Problem w tym, że ten drugi wzorzec z rodu Wołodyjowskich miał na imię Jerzy, nie Michał – stąd konieczność zamieszczenia przez autora w książce wywodu *malego rycerza* o przedkładaniu przez niego Archaniola Michała ponad świętego Jerzego i wynikający z tego wybór patrona.

Jerzy Wołodyjowski, wywodzący się ze spolszczonego rusińskiego rodu, herbu Korczak, przyszedł na świat około 1620 roku na Podolu, gdzie jego ojciec Paweł, ożeniony z Zuzanną z Komorowskich, był właścicielem wsi Nowosiółka Kostiukowa oraz części Chodorowiec k/Kamieńca i Paniowic Zielenieckich nad Zbruczem. Miał siostrę Annę, po mężu stolnikową latyczowską Makowiecką, pod tymże mianem uwiecznioną przez Sienkiewicza w książce, jako pełna niezwykłej werwy niewiasta. Brat Jerzego, Jakub, także wojował, lecz o nim pisarz nie wspomniał. Zapisany za to został w życiorysie pana Wołodyjowskiego epizod związany z alternatywą wstąpienia do klasztoru, z tym że w rzeczywistości młody Jerzy miał propozycję od swego stryja Szymona, franciszkanina w Kamieńcu, zdobycia wykształcenia i robienia kariery w habicie lub sutannie. Wybrał jednak żołnierski kolet i nauki w kamienieckim konwencie skończył chyba dość szybko, na co wskazuje poświadczony w listach brak biegłości w pisaniu.

Po raz pierwszy zauważamy go w akcji w bitwie pod Ochmatowem (1644), gdy umiejętnie rozłokowane wojska kwarciane i prywatne, wiedzione przez hetmana S. Konięcpolskiego i ks. J. Wiśniowieckiego, rozbiły czambuły sławnego Tuhaj-beja, wysłanego przez chana Mehmeda IV Gireja o nietypowej dla Tatarów porze, bo w końcu stycznia (zazwyczaj ruszali dopiero, gdy na stepie pojawiały się trawy umożliwiające wypas koni). Wołodyjowski walczył wtedy u boku tak znaczących w Rzeczpospolitej magnatów, jak Jan Zamojski czy Stanisław Lubomirski, lecz jego udziału w długotrwałych zmaganiach z Kozakami Chmielnickiego już nie odnotowano, co nie znaczy wcale, że nie brał w nich udziału. Odnajduje się dopiero w roku 1653, kiedy to wszedł w skład oddziału pułkownika Jana Kondrackiego i zapewne walczył w bitwie pod Suczawą, gdy wojska gospodarstw mołdawskiego i wołoskiego, wraz z polskimi posiłkami zdobyły zamek, gdzie bronił się

niechciany gospodar mołdawski Bazyli Lupu, wspierany przez Kozaków. W bitwie poległ syn kozackiego hetmana Tymofiej Chmielnicki, gdy armatnia kula urwała mu nogę.

Prawdziwy Wołodyjowski, podobnie jak i jego powieściowy odpowiednik, uczestniczył w wojnach ze Szwedami, ale nie dorobił się ani nadmiernej sławy, ani finansowej fortuny; skarżył się bowiem ponoć hetmanowi St. *Rewerze* Potockiemu, że za lata służby otrzymał jeno *rany, podziurawiony kulami kaftan oraz kulawą kobyłę*. Pozostawał typowym szlacheckim chudopachołkiem – rodzinne dobra podzielone były między krewniaków na małe splechetki; przy braku łupów i kosztach żołnierskiego rynsztunku, musiał pan Jerzy sprzedać odziedziczoną część Chodorowiec.

W roku 1660 Wołodyjowski osiadł na pozostałej części ojcowizny. Jego niewielki mająteczek stanowiła połowa wsi Paniowce Zielenieckie. Druga połowa pozostawała w posiadaniu miecznika podolskiego Walentego Jeziorkowskiego. Miał on córkę Krystynę, i choć pan Jerzy tak wysoko wzrokiem sięgać nie śmiał, to miecznikównie najwyraźniej spodobał się dziarski sąsiad. Znacznie mniej jej tatusiowi, który oczekiwał dla córki lepszej partii. Prawdziwa *de domo* panna Jeziorkowska (Kryśia – może Krzysia – lecz nie Basia, jak w powieści), nie była już podlotkiem (dobiegała chyba 40). W dodatku zdążyła już pochować trzech mężów – pierwszym był rotmistrz Świrski (poległ pod Zborowem), drugi sławny zagończyk Jan Kondracki, dawny dowódca Wołodyjowskiego (zmarł w obozie na dyzenterię), trzeci to weteran wojen kozackich Mikołaj Zaćwilichowski (zmarł będąc komendantem Kamieńca Podolskiego). Sienkiewicz odnotowuje nazwiska trzech panów – opowiada o nich pani Makowiecka, jako o poległych na polu chwały kawalerach zabiegających o względy Baśki.

Państwo Wołodyjowscy stanęli na ślubnym kobiercu w 1662 roku, kiedy robiący przeszkody teść już nie żył. Wspólny kapitalik i sprytnie nim obracanie poprawiało sytuację materialną małżonków. Spore korzyści finansowe przynosiło im ponoć przeganianie stad węgierskich wołów z ukraińskich stepów na Śląsk. Wspierany przez żonę Wołodyjowski został stolnikiem przemyskim (1668). W rok później odkupił od chorążego halickiego Stefana Złoczowskiego regiment piechoty węgierskiej, co świadczy o wysokim już statusie majątkowym. Przysługiwała mu za to dotacja ze skarbu koronnego, bowiem piechurzy wchodzili w potrzebie w skład załogi kamienieckiej, a ich dowódcę zaczęto tytułować pułkownikiem.

Brał udział w wyprawach próbujących wprowadzać ład na Dzikich Polach. Na stepach roiło się wówczas od łotrzyków i rabusiów, watażków tytułujących się pułkownikami, zbierających kupy swawolne i grabiących kogo popadło, czemu sprzyjał brak jednolitej

władzy – jedni Kozacy szli pod komendą atamana Doroszeński, drudzy Brzuchowieckiego, a jeszcze inni Chaneńki. A nie było już Czarnieckiego, utrzymującego na Kresach jaki taki porządek. Na tychże grasantów zasadzał się doskonale znający przymultańskie (wołoskie) okolice pan stolnik ze swymi zbrojnymi i wygniał całkiem skutecznie, rozprawiając się m.in. z niejakim Korpanem czy groźnym Drozdeńką. Czynił więc całkiem podobnie, jak swój książkowy odpowiednik, uganiający się za *grasantami* Azba-beja.

Domniemywać można, iż przejmowane łupy nie pozostały bez wpływu na stałą poprawę jego stanu majątkowego. Miał już na tyle *gotowego grosza*, że zdarzało mu się udzielać pożyczek, np. 30 złp użyczył kamienieckiemu *majorowi od harmaty* Heykingowi (pierwowzorowi powieściowego Ketlinga). Od swego powinowatego Stanisława Puchalskiego, przejął Wołodyjowski odległe 2 mile od Kamieńca, leżące w górach miodoborskich Stupińce, z fortecą, którą opatrzył i swą węgierską piechotą obsadzał, oraz żyzne, puszczańskie i miiododajne: Werbkę, Przewrocie i Zielone Łąki. Gabryel Silnicki odsprzedał mu miasteczko Szatawę, Błyszczanówkę i Słobódkę Michałowską (Świstówkę) z zamczkiem.

Sienkiewicz pisze, iż pan Zagłoba odwiedził Wołodyjowskich we wsi Sokół, jakoby posagowej posiadłości Basieńki, tymczasem w rzeczywistości pan Jerzy dzierżawił ją wraz z bratem Jakubem. Był już więc pan Wołodyjowski nie lada jakim posesjonatem: posiadał miasteczko, dwa zamczki, 7 wsi, co najmniej 12 tys. ha gruntu, nie licząc włości żony. Tymczasem rycerz znany jest już hetmanowi Sobieskiemu, z którym być może przebył kampanię przeciw Tatarom i Kozakom w 1671, i ten kieruje go w randze rotmistrza do Kamieńca Podolskiego, mającego stanowić zaporę przed szykującą się nawałą turecką. Rycerz, jak w powieści, dostaje rozkaz odbudowania, opatrzenia i zawiadywania strażniczą stanicą w Chreptowie. Udał się tam w październiku 1671, na czele 560 żołnierzy (z własnymi miał ich ok. 700). Stworzył tam bezpieczne miejsce postoju dla wszystkich udających się ku wschodnio-południowym granicom Rzeczypospolitej, choćby karawanom kupieckim. Pilnie nadstawiał ucha ku Dzikim Polom.

Wiosną 1672 roku tureckie zastępy sułtana Mehmeda IV, wraz z Tatarami chana Selima Gireja i Kozakami Piotra Doroszeński, ruszyły. Latem Jerzy Wołodyjowski powrócił do Kamieńca. Jak to dokładnie ukazał Henryk Sienkiewicz, starosta generalny ziem podolskich, Mikołaj Potocki, marne miał pojęcie o wojowaniu, stąd faktyczne dowództwo nad załogą zamkową sprawowała rada wojenna, w której skład wchodził pan Wołodyjowski (z rotmistrzami Humieckim i Myśliszewskim), lecz raczej nie odgrywał w niej aż takiej roli, jak powieściowy *mały rycerz*. Miał on bowiem doświadczenie w działaniach w polu (poczynił

kilka śmiałych wycieczek po jeńca, zanim zamknięto oblężenie), nie znalazł się jednak na sztuce broni twierdzy. Złożył wraz z innymi oficerami przysięgę, że nie oddadzą forticy do śmierci. Gdy 26 sierpnia Turcy wysadzili minami mur zamku, rotmistrz z kilkoma strażującymi bohatercko powstrzymał atak janczarów, aż do nadejścia posiłków. Już w dzień później ogłoszono kapitulację.

Stary Zamek wzniesiony na skalistym płaskowyzu, otoczony zakolem rzeki Smotrycz i wyżłobionym przez nią jarem, w początku XVII w. wzmocnił Nowy Zamek; nowoczesne tzw. *dzieło rogowe* w stylu nowowłoskim, które stanowiły kurtyna z dwoma półbastionami. Mocno ufortyfikowane Bramy Lacka i Ruska oraz baszty i wieże znacząco wzmacniały obronność. Przez wielki twierdza była nie do zdobycia. Niestety, to co było niegdyś zaletą stało się wówczas przekleństwem; rozwój sztuki artyleryjskiej sprawił, iż możliwy był ostrzał zamku ze wznieśień po drugiej stronie jaru i z dużego dystansu. A Turcy w 1672 roku dysponowali co najmniej setką świetnych dział, wybornym prochem i znakomitymi francuskimi i włoskimi puszkarzami (artylerzystami), a w dodatku górnikami do robót minerskich i specjalistami od sztuki oblężniczej sypiącymi aprosze (rowy którymi zbliżali się do murów) i robiącymi podkopy. Nieustająca, trwająca 12 dni kanonada i wysadzanie poszczególnych fragmentów umocnień skłoniły dowodzących do poddania. Ginęli też ludzie. Sienkiewicz opisał jak *schwytał się z jękiem za piersi białowłosego pana Kaluszczyńskiego, stary Wołodyjowski przyjaciel, żołnierz, jak baranek łagodny, jak lew straszliwy...* Opis to prawdziwego wydarzenia, bowiem rzeczywiście załamany pan Jerzy, nie zważając na ostrzał, klęczał przy umierającym długoletnim kompanionie.

Czy mogli się bronić dłużej? Zapewne tak, lecz byli skazani na porażkę. Twierdza nie była należycie zaopatrzona i przygotowana do obrony, a zapasy bojowe szybko się wyczerpywały. Stacjonowało w niej 1060 żołnierzy i około 500 uzbrojonej szlachty i mieszczan, a atakowało 120 tysięcy napastników. Nie brakowało prochu, lecz wyszkolonych artylerzystów do obsługi i tak marnych armat wałowych (furore wśród puszkarzy robił nad wyraz sprawny Żyd, więc wyrywano go sobie w różne punkty zapalne). Obroną zamku dowodził starosta Potocki z radą, w mieście zarządzał podkomorzy podolski Lanckoroński, a na ufortyfikowanych bramach Makowiecki (szwagier Jerzego) i Gródecki. Żadnemu nie brakowało zapalać, lecz wszystkim umiejętności. Jedyńm człowiekiem obeznanym ze sztuką oblężniczą był inżynier cywilny (mierniczy), zarazem wójt gminy polskiej w Kamieńcu, Cyprian Tomaszewicz, toteż pociski z szańca przez niego zbudowanego najczęściej dokuczały oblegającym. Poza tym w murach miasta schroniło się mnóstwo

okolicznej szlachty i mieszczan różnej nacji, co groziło wybuchem głodu i rzezią w wypadku klęski.

Decyzja o poddaniu zapadła – po rozmowach posłów z tureckim wezyrem wywieszono białą flagę. Gdy Jerzy Wołodyjowski nadzorował zagwarantowane w umowie opuszczanie zamku przez załogę, dowódca jej artylerii, pochodzący z Kurlandii major Heyking, siedząc ponoć w wieży na beczce prochu, podpalił ją... i 200 innych. Zamek wyleciał w powietrze, a wraz z nim co najmniej 500 ludzi, którzy nie zdążyli go opuścić. Wołodyjowski nie zginął od samej eksplozji, lecz na skutek wstrząsu wypaliły działa na murach i wystrzelony kartacz trafił w tył głowy pana rotmistrza. Wielką estymą cieszył się zmarły wśród mieszkańców Kamieńca, szybko więc zyskał miano *Hektora kamienieckiego*, a wieść o poległym na służbie bohaterze rozniosła się po kraju. Został pochowany, zapewne przez stryja-przeora, pożegnany przez matkę i siostrę, w podziemiach kościoła Franciszkanów w Kamieńcu, którego był z resztą dobrodziejem. A dzięki Sienkiewiczowi jego nazwisko poznali niemal wszyscy Polacy. Ród Wołodyjowskich wymarł *po mieczu* już na początku XVIII wieku.

Jego połowica nie towarzyszyła mu na oblężonym zamku, niczym powieściowy *hajduczek*, a schroniła się z panią Potocką aż na Litwie, zaś po zgonie małżonka, dla bezpieczeństwa osiadła w Dubnie i... wyszła za mąż po raz piąty. Niemniej Wołodyjowsky żyli ze sobą dobrze, o czym świadczą wzajemne zabezpieczenia na wypadek śmierci któregoś – ona mu darowała Paniowce Zielenieckie, on zaś jej legował 8000 zł na swych dobrach podolskich. Potomstwa się nie doczekali.

Kamieniec Podolski przeszedł w ręce Turków i mimo to, iż w rok później Sobieski pobił ich srodze pod Chocimiem, to twierdza pozostawała w otomańskim posiadaniu przez 27 lat.

Oprac. M. Wiatrowicz, Muzeum Regionalne w Stalowej Woli